

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska Filip w króliczej norze



Co ma wspólnego bajka o Alicji w Krainie Czarów z filmem „Filip” opartym na autobiograficznej powieści Leopolda Tyrmanda, który w czasie II wojny światowej ukrywał się przed nazistami, pracując jako kelner w hotelu we Frankfurcie? Okazuje się, że całkiem sporo. W obu przypadkach światem bohaterów rządzi logika mrocznego snu, a życie toczy się na wspak.

Tu wszystko jest możliwe

Kurtyna w górę. Alicja zanurkowała do króliczej nory, przed nią korytarz z dziesiątkami drzwi, w które się nie mieści. Wypija napój i staje się na tyle mała, żeby wejść do Krainy Czarów.

W spektakl „Alicji Kraina Czarów” w Teatrze Narodowym w Warszawie w reżyserii Sławomira Narlocha wpa-da się jak w króliczą norę. Chciałoby się krzyknąć „wow” na widok tańca olbrzymich pelikanów (choreografia Anna Hop), krwistoczerwonych strojów Królowej i Króla Kier, Kapelusznika, dworzan ubranych w sportowe uniformy, olbrzymich zegarów chodzących wspak. Na scenie czas stanął w miejscu. Odkąd królowa skazała Szalonego Kapelusznika na ścięcie, czas nie chce nic dla niego zrobić. Królowa szafuje śmiercią jak cukierkami. Za byle przewinienie albo za brak przewinienia – ścięcie. Może tylko Alicja nie boi się Królowej. Dla niej istnienie Niby Żółwia, Rycerza, rozmowa z Jelonkiem czy z Komarem są czymś naturalnym. W Krainie Czarów wszystko jest możliwe.

Dorośla Alicja (Ewa Konstancja Bułhak) czyta synkowi bajkę o dziewczynce, która zasnęła i znalazła się po drugiej stronie lustra. „Kiedy dziewczynka mówi zupełnie inaczej niż inne małe dziewczynki, jest bardzo możliwe, że nie jest dziewczynką. Może być każdym, nawet chorobą...” – pisał Roland Topor. I tak jest u Narlocha. Alicja jest bohaterką z Krainy Czarów, mamą małego chłopca, wspomnieniem dorosłego syna (świąteczny Cezary Kosiński), który w dzieciństwie stracił ukochaną matkę. Królowa nie ma już pięknej sukni, tylko fartuch przypominający szpitalną koszulę. Czas płynie wspak, ktoś siedzi w więzieniu za czyny, które jeszcze nie nadeszły. Zabawna opowieść nabiera ciężaru życia. Zaciąga się smutkiem. „Alicja w Krainie Czarów” i „Alicja po drugiej stronie lustra” napisane przez matematyka Lewisa Carrolla w połowie XIX wieku uderzająco zapowiadają absurdy i pułapki współczesności.

Wystarczy trochę się postarać, żeby utkwic w czyjeś pamięci – mówi jeden z bohaterów. Nie wiem, co utkwic w pamięci dziecięcych widzów, ale że coś w nich zostanie, jestem pewna. Śmieją się, klaszczą, próbują śpiewać.

Olśniewająca scenografia i kostiumy autorstwa Martyny Kander. Do tego orkiestra grająca na żywo. Przedstawienie trwa prawie trzy godziny. To dobry trening dla dzieciaków przed dorosłymi spektaklami np. Krystiana Lupy.

Co zobaczył Filip po drugiej stronie lustra?

Bohatera filmu „Filip” Michała Kwiecińskiego widzimy na scenie kabaretu w warszawskim getcie. Przygotowuje spektakl z przyjaciółmi i narzeczoną. Wpadają Niemcy, giną wszyscy z wyjątkiem Filipa.

W następnej scenie jest już we Frankfurcie. Podaje się za Francuza, pracuje w hotelowej restauracji, w której bywają wysoko postawieni niemieccy oficerowie. Wskoczył do króliczej nory. Zmienia tożsamość, nie może się zdradzić nawet przed sobą. Staje się kimś innym. Jest jak Alicja, która rośnie lub maleje, żeby precyzyjnie się do Krainy Czarów. Są tylko chwile, nocne biegi w pustej sali, zmieniające się w taniec rozpacz, krzyk ciała buntującego się przeciw życiu w ciągłym napięciu.

Książki Lewisa Carrolla napisane w połowie XIX wieku uderzająco zapowiadają absurdy i pułapki współczesności

Filip z twarzą i posturą Eryka Kulma juniora wygląda jak przedwojenny żigolo. Uroda staje się bronią. Mści się, sypiając z wrogiem. Filip ląduje w łóżku z samotnymi frau, których mężowie są na froncie lub przepadli bez wieści. Wykorzystuje je i upokarza. Kulm ma wdzięk światowca, a w oczach ból człowieka, który stracił wszystkich, których kochał. Tyrmand uważał, że „Filip” to jego najlepsza powieść. Życie zamiast heroicznej śmierci. Seks zamiast strzelania. Wierność sobie zamiast ojczyźnie. W PRL taki bohater nie pasował do historycznej narracji. Zabawne, że i dziś nie pasuje. Pikanterii dodaje fakt, że film wyprodukowała TVP. Reżyser nie mógł znaleźć finansowania na projekt.

Kwieciński, producent, ale i reżyser (nagroda Srebrne Lwy na festiwalu w Gdyni), dopracował film w każdym szczególe. Warto zobaczyć go w kinie. Patrząc na scenografię, zdjęcia, dbałość o detale, chciałoby się powiedzieć: stara szkoła. Ale jednocześnie jest to już kino po „Bękartach wojny”. Emocje zmieniają się w sekundę, nie wiesz, w którym momencie spokojna scena przerodzi się w krwawą jatkę. Ale to twarz Eryka Kulma utkwic mi w pamięci i jego ucieczka w stronę życia. **N**